

<https://doi.org/10.26881/rgtn.2025.09>

O KOBIETACH PRACUJĄCYCH W STOCZNI GDAŃSKIEJ

Z Anną Miler, kulturoznawczynią i politolożką rozmawia dr Iwona Zając, autorka cyklu spotkań dotyczących szeroko rozumianej kultury w Stoczni Gdańskiej

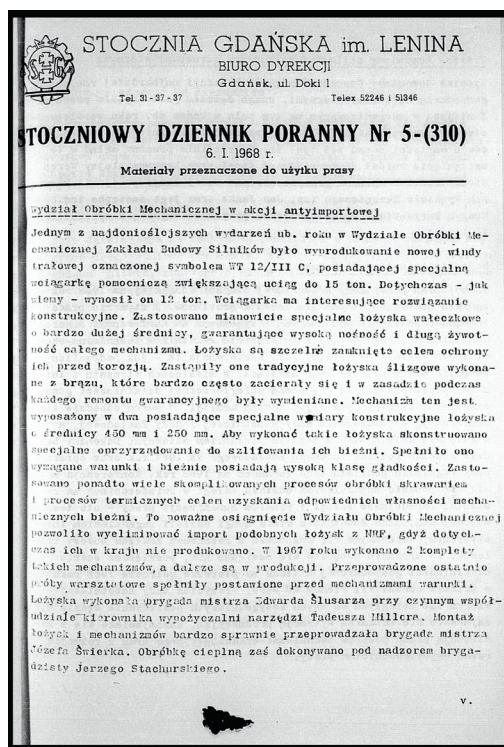
Iwona Zając: Rozmawiam z tobą w ramach cyklu *Stocznia po godzinach ONLINE*¹. To pierwsze spotkanie i dotyczy Stoczni Gdańskiej, ale też projektu, który zaczęłam w 2004 r. pt. „Stocznia po godzinach”. Miałam wówczas pracownię na terenie Stoczni i chodząc po tych terenach, zobaczyłam malarstwo, zobaczyłam obrazy, które przedstawiają tereny stoczniowe, czy to statki, czy to dźwigi, różne elementy związane ze Stoczną. To mnie zafascynowało i zaczęłam pytać, skąd to się wzięło, dlaczego tu jest, kto to namalował. I tak dowiedziałam się właśnie o stoczniowcach, o artystkach i artystach amatorach – tak byli nazywani. Mieli swoje stowarzyszenie, mieli swoje plenery, wystawiali swoje prace, m.in. w ówczesnym Biurze Wystaw Artystycznych (BWA) w Sopocie, obecnej Państwowej Galerii Sztuki. Chociaż pracuję nad tym projektem od wielu lat, nadal trudno znaleźć informacje w archiwach czy wśród stoczniowców. Obydwie szukamy różnych informacji dotyczących właśnie terenów stoczniowych i dzielimy się nimi, jeżeli cokolwiek udaje nam się znaleźć. To bardzo rozwijające, bo każda z nas ma inny zasób wiedzy, umiejętności, ciekawości i potrzeb. Przez to, że łączymy swoje poszukiwania, efekty są, mam wrażenie, dużo bogatsze. Absolutnie nie porównuję swoich poszukiwań do twoich działań, bo jesteś znana z tego, że przebywasz wiele godzin w archiwach.

Anna Miler: Tak, jak mówisz, od kilku lat badam i zajmuję się popularyzacją historii Stoczni Gdańskiej, głównie pod kątem kobiet, które w niej pracowały. Zaczęłam to robić w 2012 r. I rzeczywiście to, co robimy w projektach „Metropolitanka”² i „Stocznia

¹ *Stocznia po godzinach ONLINE* to cykl spotkań z osobami, które interesują się kulturą i historią związaną ze Stoczną Gdańską. Spotkania są prowadzone przez Iwonę Zając. Nagrania umieszczono na platformie internetowej YouTube na kanale *Stocznia po godzinach*. Projekt powstał w ramach programu stypendialnego Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu „Kultura w sieci” w 2021 r. Redakcja tekstu niniejszej rozmowy została zrealizowana jako część projektu „Stocznia po godzinach. Kontynuacja” w ramach Stypendium Kulturalnego Miasta Gdańska w 2025 r. Rozmowę z Anną Miler przeprowadzono 29 marca 2021 r.

² Strona internetowa projektu „Metropolitanka”: <https://metropolitanka.ikm.gda.pl/> (dostęp: 9.12.2025).

jest kobietą”³, to z jednej strony spędzanie czasu w archiwach, a z drugiej rozmowy z pracownikami i pracownikami Stoczni. Są to i archiwa państwowe, i gazety, Biblioteka PAN, ale też archiwa cyfrowe. Dzięki digitalizacji do wielu źródeł mamy dostęp online. Te poszukiwania czasami wiodą w naprawdę zaskakujące miejsca, w których udaje się znaleźć jakieś słowo, krótki artykuł, wzmiankę na temat życia kulturalnego w Stoczni – o tym dzisiaj pewnie będziemy głównie rozmawiały. W zeszłym roku znalazłam ciekawe materiały w Bibliotece Narodowej w Warszawie, których tutaj, w Trójmieście, nie udało mi się jeszcze zlokalizować. Są to „Stoczniove Dzienniki Poranne” (il. 1), które informowały, co ma się zdarzyć tego dnia i co wydarzyło się dzień wcześniej. Były one, jak się wydaje, przekazywane do prasy, która na tej podstawie publikowała informacje o Stoczni.



Il. 1. „Stoczniove Dziennik Poranny”, okładka: Materiały przeznaczone do użytku prasy, 1968, nr 5 (6 stycznia)

Źródło: Biblioteka Narodowa, <https://polona2.pl/item/stoczniove-dziennik-poranny-materialy-przeznaczone-do-uzytku-prasy-1968-nr-5-6,ODE4MzQxODQ/0/#info:metadata> (dostęp: 9.12.2025).

³ Strona internetowa z publikacjami projektu „Stocznia jest kobietą” realizowanego w latach 2013–2016 przez Stowarzyszenie „Arteria” oraz Instytut Kultury Miejskiej: <https://metropolitanka.ikm.gda.pl/stoczniajestkobieta/> (dostęp: 9.12.2025).

Dla mnie historia kobiet była i do dzisiaj jest najciekawsza, bo najmniej znana. Myślę, że tych materiałów udało nam się odnaleźć całkiem sporo, natomiast do 2012 r. podejmowane były w tym obszarze pojedyncze inicjatywy, np. projekt Ewy Majewskiej w ramach pleneru, który współorganizowałaś. To był 2004 r., zdaje się, kiedy Ewa Majewska po raz pierwszy rozmawiała z pracownicami Stoczni. I ja teraz, ku swojemu zaskoczeniu, znalazłam wśród materiałów Ewy Majewskiej zdjęcie pani, z którą po latach rozmawialiśmy. W 2004 r. jeszcze pracowała na suwnicy, a w 2012 czy w 2013 r., kiedy się spotkałyśmy, już była na emeryturze (il. 2). Mamy więc utrwalone dwa momenty z jej życia, pewną przemianę, którą trudno uchwycić, bo znajdowanie wątków, które łączą przeszłość z teraźniejszością, też nie jest proste. W poszukiwaniu kobiet szczególne trudności sprawia zmiana nazwiska po wyjściu za mąż. Brak wtedy w dokumentach ciągłości. Więc jest to mrówcza praca, która jednak sprawia mi dużo radości. Mam świadomość, iż wiele luk nie zostanie zapełnionych, bo dokumenty pewnie gdzieś zginęły, nie dotrzemy już do ludzi, którzy mogliby pomóc nam uzupełnić te braki.



Il. 2. Zdjęcie pracy Ewy Alicji Majewskiej z cyklu „Obecne, pracujące, zmęczone”, 2004
Źródło: fot. Ewa Alicja Majewska.

Kiedy szukam materiałów o życiu codziennym w Stoczni, znajduję coś o artystach i artystkach, robię zdjęcia, przesyłam ci, uzupełniając twoją bazę. Rozmawialiśmy o tym, że będziemy się wymieniać tym, czego potrzebujemy, i nawzajem wspierać w poszukiwaniach. Na przykład kwestia największej stoczniowej gazety „Głos

Stoczniowa" (il. 3) – gdzie jest jej archiwum? To jest pytanie, które mnie teraz dreczy: co się stało z archiwum gazety, która publikowała liczne listy i pamiątki. Mam nadzieję, że nie przepadło⁴.



Il. 3. Okładka „Głosu Stoczniowa”

Źródło: Czytelnia Biblioteki Ekonomicznej Uniwersytetu Gdańskiego, fot. Iwona Zajac. Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

⁴ Obecnie „Głos Stoczniowa” jest już do odnalezienia w archiwach, np. w zbiorach Biblioteki UG.

Są więc jeszcze skarby do odkrycia. I radość dziecka, które się bawi, ma mapę skarbów, próbuje namierzyć wszystkie miejsca, wszystkie kamienie, pod które warto zajrzeć.

IZ: Tak, rzeczywiście szukamy rzeczy ze świadomością, że może się ich nie odnaleźć. Albo kręcimy się w kółko przez wiele lat: wydaje ci się, że coś znalazłaś, ale za chwilę okazuje się, że jest to coś innego. Chyba najważniejsze jest, że to wynika z potrzeby i pasji. Bo jednak spędzasz na poszukiwaniach dużo czasu, od 2012 r., kiedy zajęłaś się projektem „Metropolitanka” i wraz z innymi badaczkami zaczęłyście tworzyć herstorię na terenie Stoczni. I stąd moje pytanie: co się stało, dlaczego to tak cię wciągnęło? Mogłaś przecież zrealizować ten projekt i zająć się czymś innym. Co takiego się wydarzyło, że tak mocno weszłaś w ten temat?

AM: Ta praca kiedyś pewnie się skończy, ale na razie mam więcej pytań niż odpowiedzi. Kiedy zaczynałyśmy te pytania zadawać w 2012 r., było raptem kilka osób, z którymi rozmawiałyśmy. Rozrosło się to potem do bazy ponad 60 wywiadów, które mamy w archiwum „Stocznia jest kobietą”. Są to wywiady zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami. I dzięki temu, że coraz więcej osób zaczyna się tym tematem interesować, pojawiają się stale nowe wątki. Poza tym prowadzone są starania o wpisanie terenu Stoczni na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Stąd coraz więcej jest działań, prób uwidocznienia codziennej, zwykłej historii Stoczni. To też mobilizuje do dalszych działań. Pracuję nad doktoratem na temat codzienności kobiet, więc choćby z racji tego cały czas szukam⁵. Z moim promotorem doszliśmy do wniosku, że trzeba skończyć te poszukiwania i zamknąć ten etap, a w kolejnym drążyć dalej. Bo coraz bardziej jestem świadoma luk. Dwa lata temu poprowadziłam wykład o kulturze w Stoczni i myślę, że wtedy byłam dopiero na samym początku tych poszukiwań. Po przetrząśnięciu kolejnych archiwów, po przeczytaniu kolejnych okólników dyrektora, które wzywają określonych pracowników na próby stoczniowej orkiestry, po recenzjach koncertów stoczniowych zaczynam dostrzegać, ile jeszcze nowych wątków tam się znajduje. Pewnie nie da się tego w całości zrekonstruować, musiałaby powstać encyklopedia. Natomiast jest to szalenie ciekawe. W wypadku rozmów z osobami zbierałyśmy historie ich życia, słuchałyśmy o ich pasji, którą chciałabym przekazać dalej. Opowiadam te historie innym, zwykle podczas spacerów po terenach dawnej Stoczni Gdańskiej.

Przy różnych okazjach docierają do nas kolejne informacje, wątki; dostaję co jakiś czas numery telefonów do osób, których warto zapytać o Stocznnię. Mam poczucie, że nie ma dużo czasu, nie możemy czekać, bo chodzi o starsze osoby i jeżeli chcemy te historie zebrać i zachować, to powinnyśmy robić to jak najszybciej. Pandemia nam to utrudnia, bo nie jest to bezpieczny kontakt dla osób starszych, młodszych zresztą też. Poświęciłam więc ten czas na pracę w archiwach cyfrowych i zbieranie materiałów, ale jest jeszcze rzesza osób, które warto przepytąć. Ogromnie się cieszę, że możemy pokazać kawałek nieznanej historii.

⁵ Ostatecznie praca doktorska nie została złożona, ale na podstawie zebranych materiałów powstaje książka o kobietach ze Stoczni Gdańskiej.

Otrzymujemy też informację zwrotną od pracownic, że to świetnie, iż wreszcie ktoś pokazuje codzienne życie i pracę Stoczni, bo jednak przez wiele lat była ona oglądana z perspektywy strajku czy wypadków. Ciekawe jest, że kiedy rozmawiam z moim promotorem, pyta mnie, czy wątki ważnych z perspektywy kraju wydarzeń historycznych pojawiają się we wspomnieniach. Okazuje się, że nie, natomiast przewijają się inne, które z kolei nie istnieją w powszechnej świadomości, takie cezury czasowe w Stoczni. Myślę, że stoczniowcy, stoczniowczynie czy stoczniówki, bo pracownice tak o sobie mówiły, stanowią ważną grupę w historii Gdańska, ci ludzie też budowali Gdańsk. To są nasze sąsiadki, babcie, nasi dziadkowie i ojcowie. Mój tata pracował w Stoczni Remontowej przez 40 lat, płót w płót ze Stoczną Gdańską. Niedawno opowiedział mi historię, że żeby skrócić sobie drogę, przechodził do Remontówki przez Stoczną Gdańską. Wtedy pierwszy raz usłyszałam o czymś takim – że można było, nie mając przepustki Stoczni Gdańskiej, przejść przez jej cały teren, od bramy nr 1 aż do bramy nr 4, czyli tej, która jest na Wyspie Ostrów. Przechodził Stoczną w tę i we w tę, jak ja teraz jako przewodniczka. To taka ciekawa kontynuacja rodzinnej historii.

IZ: Chciałam poruszyć wątek Ewy Majewskiej i Międzynarodowego Pleneru Młodych Artystów „Stocznia – spojrzenie z zewnątrz / konfrontacje”⁶. Zaczęliśmy go robić w 2003 r. i wpadłam na ten pomysł, bo na terenie Stoczni miałam od 2002 r. pracownię. Ale na pewno bez siły i energii Ewy, Ellen Southern, Piotra Mroza, Szczyma, Agnieszki Szreder oraz artystów i artystek, którzy przyjechali wtedy na własny koszt do Stoczni, to by się nie udało. Ewa jest ode mnie młodsza, ale to ona uczyła mnie feminizmu i już w 2003 r. wprowadziła wątek dotyczący kobiet w Stoczni. Wykonała wówczas instalację z ubrań i fartuchów kobiet stoczniowych. W tamtym czasie Stocznia kojarzyła mi się z mężczyznami. Dlatego też na murach są wypowiedzi stoczniowców. W takiej kulturze wyrosłam, w takim postrzeganiu tego miejsca, dlatego niezwykle cenne jest dla mnie to, co zaczęła Ewa, a czemu wy później nadałyście bardzo mocny i ciekawy wymiar.

AM: Muszę powiedzieć, że przy przeglądaniu zdjęć Ewy Majewskiej i innych prac z plenerów czuję radość, że stoją na nich jeszcze te budynki, których my już nie miałyśmy okazji zobaczyć. Że Maciej Szupica razem z Michałem Szlągą udokumentowali burzenie Wilii Dyrektora. Teraz dopiero doceniam, że jako artyści i artystki „zachowaliście” te miejsca, których teraz nie ma. To są bezcenne artystyczne przetworzenia tego miejsca, nadanie nowych znaczeń.

IZ: Dla mnie teraz ważniejsze jest nie to, że jako artystka coś przetwarzam, tylko ta bezcenna kultura, która się tam wytworzyła i która znika. Bardziej mnie interesuje to, jak tworzy się kultura w zakładzie pracy.

AM: To jest temat rzeka. Pan Zygmunt Tyska, który jest bardzo znanym działaczem na rzecz upamiętnienia historii Stoczni, powiedział: „pytacie się mnie o pracę w Stoczni, a prawie każda dekada jest inną historią”. I to doskonale widać, bo przemiany społeczne,

⁶ Strona internetowa z dokumentacjami prac artystycznych: <https://konfrontacje.wordpress.com/wwwstoczniazzzznet/> (dostęp: 9.12.2025).

kulturowe, rozwój – to wszystko miało wpływ na to, jak wyglądała kultura w Stoczni. W latach 70. ukazywały się w „Głosie Stoczniońca” pamiętniki stoczniońców i wielu z nich wspomina lata tuż po wojnie, kiedy do Gdańska przyjeżdżali ludzie zewsząd.

W jednym z tych pamiętników autor pisze, że mieszkał w domu, który nie miał jednej ściany, zniszczonej wybuchem bomby. Wraz z kolegą zajął to mieszkanie, tę dziurę jakoś zakryli, i to był ich dom. Mieli po jednej parze ubrań – to, co na plecach. Kiedy w Stoczni zaczęła się rozwijać kultura, to po pierwsze miała dać ludziom poczucie, że mogą zrobić w czasie wolnym coś innego niż chodzić po zrujnowanym mieście, dać im też możliwość spędzenia czasu z innymi ludźmi, zintegrowania się i zbudowania wspólnoty stoczniowej. Zresztą właściwie przez cały czas takiemu celowi służyła. W kolejnych latach przez organizację kultury realizowano cele propagandowe, czyli z jednej strony działały zespoły amatorskie, ale z drugiej wystawiane przez nie sztuki miały wyraźny propagandowy przekaz. Nawet jeżeli była to sztuka o wsi ukraińskiej *Bandura*, wystawiona przez Zespół Pieśni i Tańca, to miała bardzo propagandowy wydźwięk – jak to nowy system wpływa pozytywnie na mieszkańców i mieszkanki wsi.

Natomiast ze wspomnień, co prawda nielicznych, wynika jednak, że był to obszar, w którym ludzie rzeczywiście mogli się realizować. Zastanawiałam się na przykład, skąd się wzięli muzycy w orkiestrze stoczniowej. Bo przez 30 lat działała w Stoczni orkiestra, w której było kilkudziesięciu muzyków, występowali i na choinkach dziecięcych, i na wodowaniach statków, i na pogrzebach stoczniońców. Nosili mundury stoczniove, grali na różnych instrumentach. Z tego, co wiem, byli to tylko mężczyźni. I w którymś momencie znalazłam informację, że byli to m.in. muzycy ze zdemobilizowanych orkiestr wojskowych. Kryją się tu więc różne historie ludzi. W latach 50., kiedy przypadł szczyt rozwoju takich zespołów, było ich, jak myślę, kilkanaście, tworzonych przez animatorów i animatorki kultury stoczniowej – były i chór, i balet, popularny zespół estradowy, zespoły wokalne. Opisywane były w artykułach typowo propagandowych: jak to władza PRL daje szansę robotnikom na rozwój (il. 4). Rzecz w tym, że istotnie dawała im szansę na to, żeby się realizowali. Na przykład pewien pan, który był członkiem chóru, pisał piosenki i pieśni dla tego chóru, m.in. napisał pieśń *U brzegów Bałtyku*, która była śpiewana podczas wodowania statku m/s *Sołdek*⁷. Było to więc coś, z czego te osoby rzeczywiście mogły być dumne. Ale ze względu na to, że ten okres z politycznego punktu widzenia jest oceniany negatywnie, ci ludzie dzisiaj nie chcą opowiadać pewnych rzeczy. Fakt odczuwania dumy z pracy i osiągnięcia sukcesów w tamtym systemie jest dla nich niekomfortowy. Dlatego ważne było dla nas, żeby w rozmowach dać im poczucie, że to jest istotna opowieść.

⁷ M/s *Sołdek* był pierwszym pełnomorskim statkiem zbudowanym w Stoczni Gdańskiej po II wojnie światowej.



II. 4. Kronika stoczniowa

Źródło: Archiwum Państwowe w Gdańsku, sygn. APG 1291/1479.

W zespołach w sumie występowało pewnie kilkaset osób, przeważnie młodzi ludzie pracujący w Stoczni, dziewczęta i chłopcy, ale też ludzie z miasta (spoza zakładu), więc zachodziła tutaj również integracja, która dawała dużą szansę na rozwój. Kiedy osoby należące do zespołów wychodziły za mąż, żeniły się, kiedy pojawiały się dzieci, wówczas nie było już czasu, żeby po godzinach zostawać na próbach. Ale dowiadujemy się też, że czasem próby odbywały się w czasie pracy. Majstrowie nie chcieli zwalniać swoich pracowników – trudno się im dziwić, mieli plany do zrealizowania – więc dyrekcja wydawała okólniki, w których z imienia i nazwiska zwalniała pewnych pracowników w godzinach pracy na próby. Z kolei majstrowie byli opisywani w prasie negatywnie: jako tacy, którzy nie rozumieją wyższości celów kulturalnych. Takie napięcie między produkcją a kulturą było widoczne przez cały czas. Trudno się temu dziwić, bo przecież to był jednak zakład budujący statki, a nie dom kultury. Natomiast istniało wtedy przekonanie, że kultura powinna w zakładzie pracy być, że zakład pracy ma obejmować całość życia człowieka, więc powinien on też w nim spędzać czas wolny. I w momencie, kiedy rzeczywiście było bardzo dużo młodych ludzi, a warunki mieszkaniowe fatalne, to było atrakcyjne. W sobotę pracownicy zostawali popołudniami na wspólne słuchanie audycji radiowych w świetlicy stoczniowej. Z czasem, kiedy w domach pojawiły się radioodbiorniki, później telewizja, taka forma spędzania czasu stała się mniej atrakcyjna.

Jako ciekawostkę można dodać, że Agnieszka Osiecka była w latach 50., w 1954, 1955 r., na stażu w „Głosie Wybrzeża”. Jeden z jej pierwszych artykułów relacjonował

wizytę w domu stoczniowca. Opisywała życie Teodora – jednego z mieszkańców, który wracając z pracy, mijał odbudowujący się Długi Targ. To miejsce nie miało mu wiele do zaoferowania, raptem stół do ping-ponga, więc czas wolny spędzał w barze pod Zieloną Bramą, pijąc alkohol. To również był problem, który miała rozwiązać kultura – nadużywanie alkoholu. Miała na tyle zajmować czas wolny, żeby alkohol nie był atrakcyjny. Stąd też w tych kilku domach stoczniowca, które były na terenie Gdańska, były świetlice, gdzie próbowano w atrakcyjny sposób animować czas wspólny. Powstawało przy tym napięcie między działaniami animatorów a potrzebami ludzi, którzy często nie czuli potrzeby, żeby pójść do teatru albo opery, czasem nawet nie wiedzieli o takiej możliwości. Przypominają się tu współczesne dyskusje o kulturze, wiele osób ma poczucie, że robią coś fajnego i ciekawego, natomiast „oni tego nie doceniają”. Ale okazuje się, że nawet inżynierowie niekoniecznie do tej opery chodzili, bo w latach 60. magazyn „Litery” zrobił ankietę wśród inżynierów i zapytał ich, jak często uczestniczą w kulturze wysokiej (Pomorski i Rozbicki, 1962). Okazało się, że niezbyt często – odpowiadali, że chodzą raz na pół roku do opery. Myślę, że chodzili rzadziej, tylko było im trochę wstyd to przyznać. Chcieli jednak spędzać czas wolny na rozrywce, nie śpiewając w zespole amatorskim, tylko pójść na festyn, wziąć udział w koncercie muzyki rozrywkowej.

IZ: Wspominałaś o „Literach”, o tym rozczarowaniu czy poczuciu niespełnienia, kiedy wymyślamy różne rzeczy, a nikt nie przychodzi. Pamiętam to doświadczenie, kiedy my jako Kolonia Artystów w dawnej stoczniowej centrali telefonicznej bardzo się staraliśmy, żeby stoczniowcy przychodzili na nasze wystawy, spotkania, koncerty. To było trudne, zadziałało dopiero wtedy, kiedy zrobiliśmy festyn. Obie się zgadzamy co do tego, że jeżeli stwarzamy warunki do rozwoju tej przestrzeni i kiedy zaczyna się pojawiać myślenie o kulturze, o tworzeniu, to trudno przykładać do tego miarę ilościową. To wielka radość, jeżeli jest jedna, druga czy trzecia osoba, która wciąga się w tę przestrzeń i zaczyna działać, odkrywa dla siebie coś nowego. Mam też takie wrażenie, że szybko zapominamy o tym, co było – mówiłaś o „Literach”, a ja wcześniej nie wiedziałam w ogóle, że był taki magazyn. Stąd jest we mnie ogromna potrzeba archiwizowania, zbierania tych informacji, które są jeszcze dostępne. Ktoś mógłby co prawda powiedzieć, że może to robić instytucja do tego stworzona – ale w takich niszowych projektach ważna jest właśnie ta inna, osobista perspektywa, inny punkt widzenia na zagadnienie.

AM: Myślę, że my i instytucje fajnie się uzupełniamy, np. Bałtycka Biblioteka Cyfrowa digitalizuje takie pisma jak „Litery”. To wspaniałe, że siedząc w domu w niedzielę, mogę po słowach kluczowych, które mi przychodzą do głowy, poszukiwać informacji. To samo z „Dziennikiem Bałtyckim”, który jest dostępny w całości online. Mogę go sobie numer po numerze przeglądać i znajdować perełki, punkty zaczepienia. Myślę, że to jest bardzo ważne, żeby te zbiory były digitalizowane i że można szukać tego, co nas interesuje, i łączyć te kropki. Tak jak rozmawialiśmy wcześniej, wiele archiwów stoczniowych prawdopodobnie zaginęło. Nie wiemy, gdzie są, może uda nam się je znaleźć, może nie. Byłoby wspaniałe, gdyby łatwiej było do tych materiałów

dotrzeć czy znaleźć osobę, która wszystko wie, i powie: „Słuchajcie, to jest tu, to jest tam”, ale to się raczej nie wydarzy. Czasem słyszymy: „Coś mam w domu, w archiwum, pokażę wam” i okazuje się, że to skarb, który te osoby zachowały, bo uznały za ważny. Mój tata zbierał materiały w czasie strajku w sierpniu 1980 r., ma i „Trybunę Ludu”, i „Biuletyny Strajkowe”, i materiały, które były wydawane w 1981 r. W jego archiwum znalazłam też wycinek z prasy z wywiadem z Anną Walentynowicz. Myślę, że to wiele mówi o tym, co było wtedy dla ludzi ważne i warte zachowania. Chyba zaczynam się powoli godzić z tym, że rzeczywiście nie wszystko uważali za ważne, chociaż chciałabym, żeby było inaczej.

Opowiadałaś, że szukałaś jakiegoś katalogu do wystawy. Świetnie byłoby znaleźć książki wpisów wystaw, które odbywały się w Stoczni, gdzie stoczniovcy wpisywali swoje opinie. Przytoczę jedną. Pewna animatorka ze Stoczni opowiedziała nam, że ktoś napisał: „Obiad był marny, ale wystawa była dobra”. To są smaczki, które sprawiają, że chciałoby się o tych historiach opowiadać w nieskończoność. Ale biorąc pod uwagę, że w Stoczni przez cały powojenny okres pracowało 150 tysięcy osób, a nawet więcej, to jeśli nawet udałoby mi się wszystko zebrać, to byłoby chyba nie do przebrnięcia.

IZ: Dlatego mi się wydaje, że ze względu na ilość i bogactwo tego materiału indywidualne podejście i szukanie według swoich zainteresowań i fascynacji jest takie ważne. Bo przez to, że zadajemy dość specyficzne pytania, bo coś akurat nas fascynuje i coś wiemy, mamy możliwość odszukania tej rzeczy, która nie jest tak po prostu zarchiwizowana. Oczywiście jest też pytanie, na ile my interpretujemy ten świat przez siebie i stwarzamy obraz tego świata z własnej perspektywy, i czy to źle czy dobrze. Ja przychyliam się do tego, że to dobrze, bo to ubogaca. Ale ktoś inny może powiedzieć, że jest to nadinterpretacja.

AM: Tak, jest takie ryzyko. Chociaż kiedy pisałam pracę na kulturoznawstwie, to mój promotor, Jerzy Szylak, odesłał mnie do tekstu Richarda Rorty'ego w książce pod tytułem *Przygodność, ironia i solidarność* (Rorty, 1996), który dowodził, że masz prawo do swoich pytań i swoich interpretacji – nie ma jednego właściwego opisu rzeczywistości. Myślę, że te pytania mogą nas zaprowadzić w różne dziwne miejsca, czasem nawet w ślepe zaułki. Wtedy dobrze jest móc z kimś skonfrontować swoje myśli. Bardzo sobie cenię możliwość zadzwonienia do pań i panów ze Stoczni i dopytania ich o coś. Bo pewne wątki są dziwne, zaskakujące. Zaciekał mnie ostatnio temat prania ubrań, zadzwoniłam do nich, żeby zapytać, jak było z tym praniem, bo dyrekcja pisała w okólnikach rzeczy dla mnie dziwne i niezrozumiałe, i oni mi to wyjaśnili. Albo ktoś mówił o czymś w uproszczeniu i mogłabym to w takiej formie podać dalej, ale chciałam jednak dopytać, jak oni to pamiętają. Natomiast za każdym razem mam świadomość, że to, w jaki sposób pamięta to pani Urszula, niekoniecznie będzie takie samo, jak zapamiętał to pan Zygmunt. Staram się korzystać z narzędzi antropologicznych, mogę wtedy działać trochę swobodniej, niż gdybym była historyczką i szukała trzech źródeł, żeby potwierdzić jakąś informację. Tutaj ciekawsze jest dla mnie, co te osoby zapamiętały, nawet jeżeli zapamiętały trochę inaczej, niż to było w rzeczywistości. Dla mnie taką najciekawszą subiektywną historią o Stoczni jest pytanie o strajk, bo kiedy pytałśmy

o strajk, to dla nas w domyśle chodziło o wydarzenia z Sierpnia '80. A dla większości pań to był Grudzień '70. Okazało się, że w ich hierarchii strajkowej to wydarzenie było lepiej zapamiętane, bo było bardziej traumatyczne i tragiczne w ich życiu. Ciekawe jest też na przykład, że żadna osoba nie mówiła „hala widowiskowo-sportowa”, tylko „ta hala, która się spaliła”. Nadają w taki sposób sens pewnym wydarzeniom. Ważną cezurą w historii Stoczni był pożar na statku m/s Maria Konopnicka. Osoby nie pamiętają, w którym roku to było dokładnie, bo lata się mylą, natomiast wiedzą, że wydarzyła się taka tragiczna historia, miała ogromne znaczenie dla ich poczucia bezpieczeństwa i zmieniła pewne rzeczy w Stoczni. Wtedy nagle okazuje się, że chronologia funkcjonuje inaczej i każdy ma swoją, z różnych powodów.

IZ: Nauczyłam się podczas rozmów z ludźmi, że pamięć jest silnie związana z naszymi emocjami. Kiedy nagrywałam rozmowy ze stoczniowcami, jeden pan kompletnie nie pamiętał, że z nim rozmawiałam – przyniosłam nagranie, poznał siebie, swój głos, ale kompletne mnie nie pamiętał. Z kolei drugi pan pamiętał, że z nim rozmawiałam – a ja z nim akurat nie rozmawiałam. Stwierdziłam, że nie ma sensu trzymać się ścisłej struktury, bo mówimy tu bardziej o pewnym obrazie historii niż *stricte* o faktach.

AM: Fakty mamy niby z dokumentów, ale powstaje kwestia selekcji: co kto uznał za ważne, żeby zachować, a czego nie zachował. To też jest czyjaś decyzja i w jej wyniku mamy dostęp do takich, a nie innych informacji.

IZ: Jak trafiłaś na „Literę”? Czy wiedziałaś wcześniej o tym, że ten magazyn był wydawany? Albo np. ten biuletyn, który mi wysyłałaś, pisany na maszynie do pisania, nie chcę pomylić nazwy...

AM: „Ziemia Gdańska Biuletyn Metodyczny” wydawany przez Wojewódzki Ośrodek Kultury w Gdańsku (wcześniej jako „Informator WDK: Ziemia Gdańska” przez Wojewódzki Dom Kultury), czyli dyskusje ekspertów i ekspertek o kulturze, jeden numer w połowie poświęcony kulturze stoczniowej. Są tam świetne materiały, teksty Bolesława Faca, który pracował w bibliotece w Stoczni, był jednocześnie felietonistą „Głosu Stoczniowca”, pisał o Stoczni, często satyrycznie, często złośliwie. W „Głosie Stoczniowca” odnosił się do życia stoczniowego. Bardzo często pisał o BHP, nawet jeśli prześmiewczo, to z przekazem: „To jest ważne – jeżeli chcecie przeżyć, to noście te kaski”; przemyczał w swoich tekstach istotne kwestie. W „Literach” dyskutował o roli książki w życiu stoczniowców i stoczniowczyń. Edgar Milewski, kolejny dziennikarz, felietonista, pisał dość dużo o kulturze stoczniowej. To są zaskakujące źródła, byłam zachwycona, kiedy udało mi się to znaleźć. A był to wynik siedzenia w bibliotekach cyfrowych i wyszukiwania po słowach kluczowych. Podejrzewam, że nie wszystko jest tam od razu opracowane tak, jak powinno być. Dlatego po jakimś czasie wracam i z czasem udaje mi się znaleźć coś nowego. Mówię tu o Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej, Pomorskiej Bibliotece Cyfrowej, czasem coś ciekawego można znaleźć w Polonie. Pojawiają się też nowe zbiory, gdzie można znaleźć bardziej publicystyczne podejście do kultury w Stoczni.

Mamy więc opowieści ludzi, którzy tworzyli kulturę, byli animatorami i animatorkami, i opowieści ludzi, którzy w tej kulturze uczestniczyli, informacje prasowe,

np. repertuar kina Panorama, które działało w Stoczni, informacje o koncercie Marleny Dietrich z „Dziennika Bałtyckiego” czy innych gazet, felietony prasowe, reportaże o koncertach bigbitowych. Zacytuję fragment, który mnie rozśmieszył: „Przyszli po to, żeby móc powrzeszczyć, bo ich tak nauczono. Raczej nie wyposażono w wiedzę, która pozwoliłaby oceniać muzykę”. Jest 1969 r. i koncert Trubadurów w hali widowiskowej Stoczni Gdańskiej, gdzie młodzież, trzynasto-, czternastolatkowie przychodzą z matkami. Tymczasem autorzy w tym tekście, pochodzącym z „Liter”, dorysowują do tego niemal armagedon. Niemalże jak opis koncertu Beatlesów w Wielkiej Brytanii.

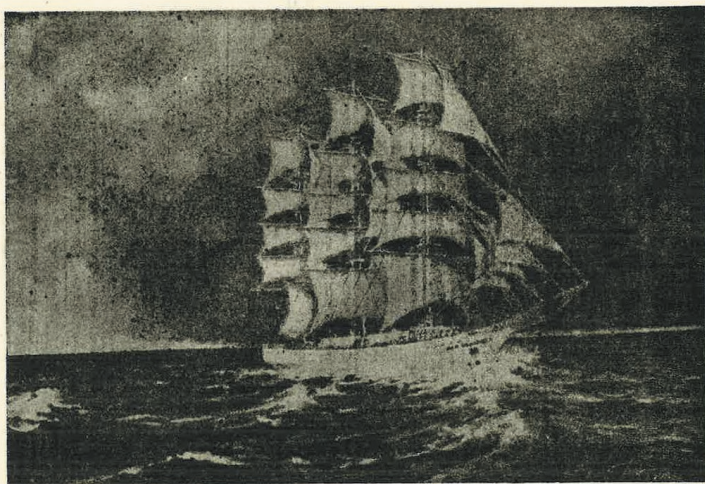
Nagle się okazuje, że Stocznia, poważne miejsce, kojarzone ze strajkami, ma też inne, bardziej rozrywkowe oblicze. Bo były tu koncerty bigbitowe, wybory Miss Polonia, nawet Festiwal Piosenki w Sopocie po raz pierwszy był zorganizowany w Stoczni Gdańskiej, dlatego że miała ogromną halę widowiskową. W Stoczni Dom Mody Telimena organizował pokazy mody, więc z ówczesnego założenia wydarzenie bardziej dla kobiet. W Zakładowym Domu Kultury urządzano ceremonię parzenia herbaty według receptury jednej z kultur azjatyckich, chodziło chyba o Indie. Działo się więc dużo zaskakujących rzeczy. Kiedy znajduję te informacje, to myślę, że naprawdę obraz Stoczni jest niesamowicie pokomplikowany. Mówimy o malarzach i malarkach, których ty próbujesz znaleźć i których prace były wystawiane na drodze między Salą BHP a budynkiem dyrekcji. Uważam, że to był naprawdę cudowny pomysł, żeby to zrobić w miejscu, gdzie ludzie codziennie chodzą do pracy. W gruncie rzeczy to to samo, co my też praktykujemy, żeby w miejscu codziennego bytowania prezentować kulturę. Oni już wtedy to tak wymyślili, że podczas którejś wystawy wykorzystali to, co było w Stoczni. Użyli lin stoczniowych i zrobili z tego aranżację. Niesamowite historie w zakładzie, który budował statki, w którym były ciągły huk, pył – i właśnie sztuka. Marlena Dietrich narzekała, że kiedy miała koncert w hali, to przejeżdżające pociągi powodowały drżenie sceny. Na potrzeby kultury były adaptowane różne miejsca, budynki, które potem były burzone albo przystosowane na cele produkcyjne, bo taki jednak był priorytet Stoczni.

IZ: No właśnie, z jednej strony przestrzenie produkcji stawały się miejscami prezentacji dzieł, z drugiej Dom Kultury został rozebrany, a na jego miejsce wybudowano nową halę prefabrykacji Wydziału Montażu Kadłubów K2 Stoczni Gdańskiej. Bardzo ciekawy jest też temat współpracy między Stoczną a instytucjami. Pamiętam, że kiedy byłam u pana Ireneusza Leśniaka, pokazał mi katalog wydany przez BWA w Sopocie (il. 5) – BWA przyjeżdżało do Stoczni, artyści mieli pokazy w stołowce. I ta współpraca odbywała się na różnych poziomach, w Ratuszu Staromiejskim również organizowano pokazy prac stoczniowców.

AM: Tak, to prawda, tych przejawów współpracy było dużo. Wiedziałam o tym, że działo się tak w latach 70., bo Stocznia bardzo intensywnie współpracowała wtedy z instytucjami miejskimi. Ale i w latach 50. również nawiązywano taką współpracę – znalazłam informację o Muzeum Pomorskim, które organizowało oprowadzanie dla przodowników pracy. Relacja pokazywała jednego z takich przodowników na wystawie, miał być wzorem nie tylko pracy, ale i spędzania czasu wolnego. Artyści i artystki późniejszej Filharmonii Bałtyckiej i Baletu Opery Bałtyckiej też współpracowali

z zespołami amatorskimi w świetlicach i w stoczniovym Domu Kultury, będąc po prostu choreografami, pomagając układać repertuar w chórze, wspierając jako dyrygenci, muzycy czy tancerze. Było tych ludzi bardzo dużo, to byli profesjonalści, którzy czasem przez wiele lat pracowali w stoczniovych zespołach. W latach 40. w Stoczni występował Teatr Janiny Jarzynówny; Wileński Teatr Łątek, czyli późniejsza Miniatura, miał tam swoje występy, prawdopodobnie w nieogrzewanych pomieszczeniach, bo nie miał własnej siedziby. Później, w latach 60. zaczęto dyskutować, czy na pewno Stocznia ma organizować kulturę, może byłoby lepiej, gdyby zajęły się tym odpowiednie instytucje. Myślę, że to było pytanie zasadne – rozmaitych instytucji kulturalnych było coraz więcej, działały już sprawnie.

**BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W SOPOCIE
GALERIA WOJEWÓDZKA
STOCZNIA GDAŃSKA im. LENINA**



MALARSTWO I RZEŻBA
PLASTYKÓW AMATORÓW
STOCZNI GDAŃSKIEJ im. LENINA

Il. 5. Okładka katalogu *Malarstwo i rzeźba artystów amatorów Stoczni Gdańskiej im. Lenina*, projekt Franciszek Wiśniewski, zdjęcia Roman Goetel, Biuro Wystaw Artystycznych w Sopocie, Galeria Wojewódzka, Stocznia Gdańska im. Lenina
Źródło: własność prywatna Iwony Zajac.

Zwracano też uwagę, że zespoły amatorskie to już archaiczne rozwiązanie, że angażują jednak niewielką liczbę osób, że wystawiają ciągle to samo. Ale też do 1973 r. Zakładowy Dom Kultury stał jako budynek. Było tam kino Panorama dostępne dla osób z zewnątrz, którego repertuar publikował „Dziennik Bałtycki”. Jednak w wyniku rozbudowy Stoczni ten zabytkowy budynek z początku XIX w. został zburzony i Dom Kultury nie miał już swojej siedziby, tylko pojedyncze pomieszczenia.

Wtedy na dobre rozpoczęła się współpraca z ówczesnym kinem Leningrad, późniejszym kinem Neptun. Dla stoczniovców organizowano specjalne pokazy filmowe w ramach Festiwalu Filmów Fabularnych i oni wybierali własnych faworytów, własne filmy, które nagradzali, często inne niż jury, co budziło pewne oburzenie. Teatr Wybrzeże organizował premiery spektakli specjalnie dla stoczniovców, po których odbywały się rozmowy z aktorami. Była sztuka Hanuszkiewicza wystawiana w Hali Olivia, po której w Ratuszu Staromiejskim odbyła się dyskusja ze stoczniovcami. Jeden ze stoczniovców powiedział mi, że te premiery stoczniove sprawiały, iż ludzie, którzy na co dzień pracowali obok siebie, ale jeden był przełożonym, a drugi podwładnym, tu spotykali się na w miarę równym poziomie, ubrani w garnitury, wyglądający w miarę podobnie. I dodawał nawet, że dochodziło do różnych umów w kulisach, że ktoś spotkał się ze swoim mistrzem w teatrze i między kolejnymi aktami coś omówił i później w Stoczni powoływał się na te ustalenia. Bilety były albo za darmo, albo były tańsze, więc też sporo osób z tego korzystało i załatwiała dla swoich dzieci bilety na koncerty, np. bigbitowe.

Inny przykład współpracy to Ratusz Staromiejski, gdzie organizowano koncert absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej i wystawy z BWA. Tu anegdota: jedna z animatorek wspominała, że wystawa profesora Kazimierza Śramkiewicza i jego syna Andrzeja, zawierająca bardzo cenne prace, nie była ubezpieczona, ponieważ uznano, że do Stoczni nie może wejść nikt spoza zakładu, wszyscy muszą mieć przepustki, są przeszukiwani na bramie, więc obrazy są bezpieczne. Muzeum Narodowe organizowało zwiedzanie dla pracowników i osobno dla ich dzieci, różnego rodzaju konkursy, więc tych możliwości było dużo i ludzie z nich korzystali. Jednak, kiedy pytałyśmy w wywiadach o kulturę, to najczęściej mówiono o zabawach karnawałowych, choinkach, radiowęźle, grzybobraniach, które z kolei krytykowali dziennikarze, mówiąc, że to żadna kultura. I faktycznie dochodziło tam czasem do ekscesów alkoholowych, ale to była też kultura, którą pracownicy i pracownice traktowali jako swoją.

IZ: To kwestia tego, że kulturą jest to, co sami uważamy za kulturę. Jakaś grupa może powiedzieć, że dla nich to jest wydarzenie kulturalne. Tak jak na przykład obchody Dnia Stoczniovców, z wszystkimi występami, koncertami i konkursami.

AM: Tak, choćby potańcówki w Straszynie, gdzie przygrywał zespół Stoczni Gdańskiej, Dni Morza, które były organizowane na Placu Zebrań Ludowych, czyli impreza dla Gdańszczan i Gdańszczanek organizowana przez Stocznnię, a promująca kulturę morską, do tego jeszcze konkursy dla przedszkoli organizowane przez biuro konstrukcyjne. Był np. konkurs na rysunek o Stoczni, dzieci przyjechały autobusami do zakładu, oglądały go, a potem rysowały to, co zapamiętały. Osoby, które organizowały kulturę, były bardzo pomysłowe.



Il. 6. Plastycy amatorzy w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wystawa w Biurze Wystaw Artystycznych w Sopocie, 19 maja 1984 r., molo w Sopocie (na zdjęciu: Zofia Jowdiuk, uczestniczka wystawy w BWA w Sopocie)

Źródło: PAP; fot. J. Uklejewski.

To chyba „Literary” pisały w latach 60., że każdy przyjeżdżający do Gdańska mija Stocznę, natomiast nie bardzo można do niej wejść. Były co prawda organizowane wycieczki z przewodnikami po Stoczni, ale dla ograniczonej liczby osób, chociaż rocznie korzystało z nich kilka tysięcy ludzi. Były więc różne próby odczarowania tego, co jest za murem. Na przykład organizowano pikniki dla młodzieży z ósmych klas, żeby zachęcić ich do wyboru zawodów związanych ze Stoczną, podobne akcje organizują firmy i dziś, jak widać nie jest to nowy pomysł. Dla mnie hitem jest bibliobus, czyli akcja bibliotekarek. Na terenie Stoczni była biblioteka, ale po zburzeniu Domu Kultury musiała się wynieść do Domu Stoczniowca przy ulicy Juliana Tuwima we Wrzeszczu. Bibliotekarki stwierdziły, że to za daleko i ludzie nie będą ze Stoczni przyjeżdżać specjalnie do Wrzeszcza, raczej pójdą do biblioteki miejskiej. Postanowiły więc przyjeżdżać autobusami wypełnionymi książkami do Stoczni i wypożyczać je bezpośrednio z bibliobusa, zachęcając, żeby czytelnicy przyszli zwracać je do siedziby biblioteki.

IZ: To bardzo fajny przykład wyjścia do człowieka, do miejsca. Mnie zafascynowało, kiedy patrzyłam na obrazy powstałe w Stoczni, że ludzie chcieli tworzyć kulturę właśnie tam, gdzie pracowali (il. 6). Sama wiem, jak trudno malować na zewnątrz, w plenerze. To bardzo odsłaniające, obnażające doświadczenie. I mnie to urzekło, ta potrzeba, że jesteś w tym miejscu, spędzasz tu tyle czasu i jeszcze chcesz to malować. Albo kwestia wykorzystywania nauczonych technik w twórczości i w życiu codziennym.

AM: Tak, to, że jeszcze im się chciało zostawać i tworzyć po pracy, może wynikać z faktu, że byli bardzo ze sobą zżyci. Wiele osób używa metafory rodziny, mówiąc o Stoczni. To nie znaczy, że wszystko było idealnie, bo były też bardzo trudne historie, natomiast mówią: „To było jak rodzina” i często porównują tę ówczesną atmosferę do współczesnych warunków pracy, uważając, że teraz jest okropnie. Kiedy słyszą opowieści swoich wnuków i wnuczek albo dzieci z miejsc pracy, to mówią: „Nie, u nas pewne rzeczy nie mogłyby się zdarzyć, ludzie się nawzajem jakoś chronili”. To mogło być powodem, że po pracy jeszcze chcieli spędzać czas, jeżeli tylko mogli i jeżeli obowiązki domowe na to pozwalały, bo kobiety zdecydowanie rzadziej uczestniczyły w tych aktywnościach, przeważnie wracały do domu, zajmować się dziećmi, ewentualnie innymi zależnymi członkami rodziny.

I rzeczywiście, wykorzystywali umiejętności i materiały stoczniowe przeznaczone do wywiezienia na złom, do swoich celów, niezwykle kreatywnie. Zdarzały się incydenty, które określano mianem kradzieży, bo jacyś pracownicy zrobili stoliki do szachów z elementów, z których robić tego nie powinni, dostali naganę. Metaloplastyki z panoramą Gdańska, które ponoć wisiały w wielu domach – nie miałam okazji ich niestety zobaczyć – były też prezentami od matek chrzestnych dla armatorów i kapitanów statków. To niesamowite, jaka była potrzeba, żeby to, co na co dzień było ciężką powtarzalną pracą, przekształcić w coś pięknego, w coś, co oni uważali za piękne i co było wyrazem ich wewnętrznej potrzeby.

IZ: Brat mojej mamy, który pracował w Stoczni, zrobił dla niej metaloplastyczny wisior i ona ma go do dzisiaj. Ciekawi mnie połączenie umiejętności, które nabywasz w pracy, z potrzebą twórczą, przekształceniem tych umiejętności w coś służącego do własnej ekspresji.

Transkrypcja: Katarzyna Tarnowska
Redakcja: Piotr Salewski, Iwona Zajac
Tekst autoryzowany

Bibliografia

- Pomorski, B. i Rozbicki, K. (1962). Inżynierowie wolny mają czas. *Litery*, 12, 12-13.
Rorty, R. (1996). *Przygodność, ironia i solidarność*. WAB.

Nota informacyjna

Nie udało się ustalić autorów/autorek zdjęć pochodzących z Archiwum Państwowego w Gdańsku. W przypadku rozpoznania zdjęć lub przedstawionych osób prosimy o kontakt z Anną Miler.